

tnice zbudowania rajy na ziemi. Woleli pracować na swoim niż w kolektywie pod nadzorem władz. Bo widzieli i poznali na własnej skórze, jak wygląda sowiecka ideologia w praktyce. Do cierpienia zaś przyzwyczaili ich twarde życie we własnym gospodarstwie. Dlatego mimo wywieranej na nich presji i szykan nie poddali się. Konfrontacja z biedną, kapitalistyczną Polską, którą poznali i zapamiętali wcześniej po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, w porównaniu z tym, co zaferowano im teraz w Związku Sowieckim, dawała jednoznaczny obraz nowej rzeczywistości. Przedtem, w carskiej Rosji, znosili niewolę narodową, a teraz niby w „lepszym ustroju”, głoszącym sprawiedliwość społeczną, pozbawiono ich wszystkiego: nie tylko własnej kultury, języka, ale wiary i religii, własności, a nawet prawa do obrony i do normalnej ludzkiej egzystencji. Wolność dla Sowietów nic nie znaczyła. Człowiek miał być maszyną do wykonywania poleceń władz.

Diaczyński opisuje w swojej książce także przemiany, jakie się dokonywały w Związku Sowieckim po wojnie. Do czasu śmierci Stalina w sferze ustrojowej, społeczno-politycznej i gospodarczej panował terror i twardy reżim, i nikt nie był pewny własnego życia. Dopiero w okresie Chruszczowa, a potem Breżniewa system zelżał i się nieco zliberalizował, przestały działać wszechwładne „trojki”, choć nie oznacza to, że było ludziom lekko. Poprawiła się nieco organizacja pracy, technika uprawy, zaczęto uprawiać wzorem amerykańskim kukurydzę, która przynosiła większe plony. Poprawiły się warunki życiowe ludności i kołchoźników oraz zaopatrzenie. Pobudowano nowe szkoły i domy kultury oraz przedszkola i żłobki. Zezwolono kołchoźnikom na posiadanie własnych małych gospodarstw rolnych, głównie skierowanych na samo zaopatrzenie. Ale jak zawsze szwankowała szczególnie w kołchozach organizacja pracy i brak części zamiennych do maszyn rolniczych. Choć system polityczny zelżał i przestał być tak represyjny, i dokuczliwy, ale ideologicznie niewiele się zmienił. Nadal zwalczano religię, nie pozwalano na prywatną inicjatywę w sferze gospodarczej. Wszystko zmieniła dopiero wprowadzona przez Gorbaczowa pierestrojka i głośność w drugiej połowie lat 80. Ale ani władze, ani społeczeństwo, ani gospodarka nie były przygotowane na tak gwałtowne zmiany. Ludzie przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów i poleceń z góry, nie potrafili się odnaleźć w nowej sytuacji. Bo nagle dotychczasowy porządek został zmieniony. Ale ludzie ciągle czekali, aż ktoś za nich podejmie decyzję, a najlepiej, jak rozkaz przyjdzie z góry. Tak działał system sowiecki przez dziesiątki lat. Znakomicie pokazuje to Diaczyński na konkretnych przykładach z własnego podwórka. Niekiedy te doświadczenie są komiczne, szczególnie gdy zaczyna brakować wódki i trzeba ją kupować pokątnie albo po prostu pędząc bimber. Prawie w każdym domu na wsi znajdowała się mała bimbrownia. Na skutek głośności nawet profesorowie

uczelnii, na której studiował Diaczyński, zaczęli tracić głowę, gdy czytają w prasie rzeczy, które zupełnie nie pasują do tego, co dotychczas głosili z katedr. Przyzwyczajeni do wygłaszania ideologicznych sloganów, powoływania się na klasyków marksizmu-leninizmu zdają się dalej czekać na nowe wytyczne. Na początku po wielkim entuzjazmie i zachłyśnięciu się wolnością, niedługo potem przyszło wielkie rozczarowanie: następuje chaos gospodarczy, a w sklepach zaczyna brakować podstawowych artykułów i żywności. Zaczyna się też grabież państwowego majątku. Niestety, i tutaj zaczyna się klęska Gorbaczowskiej pierestrojki.

W tym czasie Diaczyński już jako dziennikarz lokalnej prasy rosyjskojęzycznej w Kazachstanie na początku lat 90. angażuje się w organizowanie na tamtejszym terenie stowarzyszenia Polaków i stara się nawiązać kontakty z polską ambasadą, a później powstałym w Kazachstanie konsulem, o który cały czas zabiegał wraz z innymi miejscowymi działaczami polonijnymi. To się udało, ale wsparcie dla tutejszych Polaków ze strony dyplomatów i Wspólnoty Polskiej oraz naszych parlamentarzystów okazało się niewspółmierne do oczekiwań. A co mówili kazachstańskim Polakom i co im obiecywali i co z tego zrealizowali, Diaczyński opowiada w książce z ironicznym uśmiechem. Jeśli ktoś pomagał tamtejszym Polakom, to najczęściej indywidualni ludzie, którzy zapraszali ich do Polski, do swoich domów, przysyłały książki do nauki języka polskiego, a nawet wielu przyjeżdżało uczyć za małą pensję kazachskiego nauczyciela i to w trudnych warunkach, bez podstawowych wygód, jakimi dysponowali w Polsce. W żadnym wypadku to podziękowanie za udzielone wsparcie nie dotyczy urzędników ambasady czy konsulatów oraz Wspólnoty Polskiej powołanej przez Sejm do niesienia pomocy i nawiązywania kontaktów. Jeśli Niemcy – wspomina z gorącością Diaczyński – umożliwili prawie wszystkim swoim rodakom, i to z całymi rodzinami, na powrót do ojczyzny, zapewniając im mieszkania i pracę, to w Polsce były to indywidualne zaproszenia ze strony niektórych wójtów i burmistrzów, których nazwiska Diaczyński m.in. wymienia w swej książce. Na pytania: dlaczego nas na to nie stać, parlamentarzyści i dyplomaci oraz urzędnicy ministerialni grzecznie odpowiadali, bo jesteśmy jeszcze zbyt biednym krajem.

W końcu udało się Diaczyńskiemu wraz z rodziną zamieszkać w Polsce dzięki właśnie takim pojedynczym ludziom, samorządowcom. Kiedy się już zadowolił, po blisko 10 latach, postanowił odbyć podróż sentymentalną do Kazachstanu, zresztą z niemałymi kłopotami, które w książce opisuje w szczegółach, by odwiedzić pozostałych tam jeszcze członków rodziny, przyjaciół i znajomych oraz skonfrontować obecną rzeczywistość Kazachstanu z jej niedawną przeszłością. Akurat Polska wtedy wstępowała już do Unii Europejskiej. Było więc co porównywać. Niestety, kiedy my posuwaliśmy się politycznie i gospodarczo szybko do przodu, tam na

skutek rozpadu więzi kooperacyjnych, dezorganizacji, gospodarka, przeżywała ogromne kłopoty, a ludzie zamiast cieszyć się ze swej wolności, z postępu technicznego i zwiększającego się poziomu życia, jak było na przykład u nas i w krajach dawnego KDL-u (krajów demokracji ludowej), nadal borykali się z kłopotami aprowizacyjnymi, ze znalezieniem pracy, wzrastającym nacjonalizmem. Zaczęła się nowa migracja ludności, już nie wymuszona przez władze, jak za czasów sowieckich, ale w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków bytowych. Już po pierestrojce umożliwiono ludziom na swobodne poruszanie się po terytorium Związku Sowieckiego. Udostępniono wszystkim paszporty. Potem, gdy powstała Wspólnota Niezależnych Narodów (WNP), wytyczono też formalne granice oraz zaprowadzono urzędy celne. Teraz, po kilkunastu latach, Anatol Diaczyński ogląda opuszczone domy, zrujnowane szkoły, przedszkola, domy kultury. Po Niemczech, którzy opuścili Kazachstan, wprowadzają się Kazachowie, ludzie o innej kulturze, którzy dom mają tylko do ozdoby, a żyją w zbudowanej obok jurcie. Stolica republiki zostaje przeniesiona do Astany, która jest oczkiem władz. Tam przeniesione zostają wszystkie instytucje i urzędy, a dochody z bogatego w ropę kraju są przeznaczane na wystrój nowej stolicy, na upiększanie budynków i ulic oraz budowę pomników. Niewiele z tego ma tamtejsza ludność. Sowiecką ideologię zamieniono w kazachski nacjonalizm. Nadal panuje wszechwładna korupcja. Przykładem tego może być celnik, który odwiedził podróżujących w pociągu Polaków i bez łapówki nie chciał przepuścić drobnego upominku, jaki wieźli do swych krewnych, żądając od nich na to dokumentacji, której nie posiadali. W końcu wystarczająco dać mu 10 dolarów. Warto dodać, że granicę Diaczyńscy przekraczają kilka razy i za każdym razem odwiedzają ich inni celnicy. Bo tory zbudowano jeszcze w czasach Związku Sowieckiego, kiedy granice istniały tylko formalnie. Ten smutny obraz towarzyszy Diaczyńskiemu do końca pobytu. Niestety. Jakkolwiek w Kazachstanie nie było wojny domowej, jak w sąsiednich krajach, to jednak trudno powiedzieć, że wolność przyniosła im szczęście i pokój – smutno wspomina autor.

Warto czytelnikom książki przypomnieć, że język polski był znany pisarzowi tylko z domu, z rodzinnych rozmów i opowiadań rodziców oraz babci Ewy. Poznał go dopiero lepiej, gdy przybył do Polski. I ten trud pisania w języku polskim warto też docenić. A językoznawcy – tak myślę – mogliby z powodzeniem zająć się szczególnym narzeczem polonii kazachskiej, w którym są wielkie wpływy języka rosyjskiego i ukraińskiego. Z punktu widzenia językowego jest to ciekawe zjawisko, warte zbadania i opisanie. Tylko istnieje jedna obawa, że Polaków, którzy się nim jeszcze posługują, będzie szybko ubywać.

Mirosław Osowski